TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK »GŁOSU NARODU«

Rok III — Kraków, niedziela, dnia 29 maja 1938 r. — Nr 22

Dr J. Zbigniew Pachoński (Kraków)

„Hazard śmiertelny" Napoleona

REPORTAŻ Z II TOMU „WOJNY 1812" Gen. MARIANA KUKIELA.

UWAGI NA MARGINESIE.

Dwutomowe dzieło gen. Mariana Kukiela „Wojna 1812"[1]) napisane z niezwykłym talentem i rozmachem należy do arcydzieł literatury historycznej nie tylko polskiej ale i światowej. Ogromem materiału zebranego, bogactwem nowych tez, artyzmem ujęcia, bezstronnością sądu stanowi ono punkt zwrotny w badaniach nad epoką napoleońską. Spodziewać się należy, że będzie przełożone na obce języki, zwłaszcza francuski, z uwagi choćby na to, że gen. Kukiel dziełem swym postawił Napoleonowi najpiękniejszy pomnik. Cesarz poważnie chory w walce z niezwykłymi trudnościami wydaje się Gigantem; kiedy każdy błąd polityczny czy strategiczny mści się okropnie, on nie wypuszcza na chwilę steru i dowództwa z ręki, innym ducha dodaje a swym geniuszem wojskowym sam za drugą armię starczy. „Wojna 1812" jest równocześnie żywym obrazem męstwa, wysiłków i zasługi Polaków. Ponieważ recenzję I. tomu podaliśmy już uprzednio[2]) zajmiemy się wyłącznie II tomem, składającym się z 3 części (Smoleńsk, Moskwa, Odwrót), poświęcając każdej osobny reportaż.

PO ZAJĘCIU LITWY.

Z końcem lipca 1812 cała Litwa aż po Dniepr i Dźwinę znalazła się w ręku Napoleona. Ale cesarz nie był zadowolony. Chodziło mu przecież nie o zdobycze terytorialne ale o walną bitwę i zwycięstwo; tymczasem Litwę zajął bez walki na skutek taktyki odwrotowej wroga. Co gorsze, obie armie rosyjskie: Barclay'a i Bagrationa — uniknęły zniszczenia tylko dzięki błędom dowództwa francuskiego i wymknęły się na Smoleńsk. Połączone stanowiły groźne „memento" pod bokiem. Stąd Napoleon zarzucił pierwotny swój plan zakończenia kampani 1812 na Dźwinie i Dnieprze (w razie zwycięskiej walnej bitwy) i organizacji potężnej Polski jako bazy wypadowej dla kampanii roku następnego. Nie bacząc na poważną opozycję wśród doradców postanowił szukać rozstrzygającej bitwy pod Smoleńskiem. Do Smoleńska było najwyżej 6 marszy, a dysponował jeszcze 3-ma miesiącami nadającymi się do operacyj wojennych. W dodatku liczył, że mimo ubytku w szeregach (do 1/3), na skutek trudów wojennych, chorób i złego odżywienia dysponuje druzgocącą przewagą siły, mogąc rzucić na 112.000 zebrane koło Smoleńska aż 180.000 ludzi.

NIEDOCENIONY WOŁYŃ.

Poza 1. i 2. armią skoncentrowanymi obecnie pod Smoleńskiem, mieli Rosjanie 46.000 armię (3) rezerwową Tormasowa na Wołyniu i korpus Wittgensteina osłaniający pod Połockiem trakt petersburski. Napoleon przekonany, że zwycięstwo nad główną siłą pod Smoleńskiem zmusi do cofania także skrzydłowe ugrupowania, zlekceważył ze wszechmiar ważne dla sprawy ziemie południowe: Wołyń i Ukrainę. Kiedy zrozumiał wagę tych ziem i bezpośredniego kontaktu z Turcją, postanowił przerzucić na Wołyń V korpus ks. Poniatowskiego dla samodzielnej akcji i zorganizowania powstania. W miejsce Poniatowskiego miał wejść do głównej grupy manewrowej Schwarzenberg z niepewnymi Austriakami. Niestety, było już za późno. Tormasow rozpoczął akcję zaczepną z Wołynia ku bezbronnej Lubelszczyźnie. Dla jej zasłonięcia użyto pod ręką będące siły sasko-austriackie. Tormasow został zatrzymany, ale i Austriacy byli związani na tym odcinku, tak że wymiana ich na Polaków Poniatowskiego już nie dała się przeprowadzić. Skutkiem zaś tego powstanie ziem południowych nie rozwinęło się, a Napoleon w odwrocie późniejszym znajdzie tu miast pewnych sprzymierzeńców — Polaków, dwuznacznych Austriaków.

SMOLEŃSK.

Odkąd 1. i 2. armia połączyły się pod Smoleńskiem, w dowództwie rosyjskim panowały zacięte spory o sposób prowadzenia dalszej wojny. Mający naczelną komendę, minister wojny Barclay, zaufany cara, był za defensywą. Tymczasem Bagriaton i większość generałów domagała się ofensywy. Podzielał to zdanie sam car, lubo zalecał „nie narażać armii". Pod taką presją ustąpił Barclay i wydał rozkazy do marszu na wroga. Zaskoczony jednak wieściami o posuwaniu się wojsk napoleońskich, a bojąc się, by go nie odcięto od Moskwy przerwał co prędzej manewr zaczepny i powrócił pod Smoleńsk. Zdążył jeszcze na czas, uprzedzając Francuzów, ale stąd żadnych korzyści nie wyciągnął. Walnej bitwy nie przyjął (co mu car zgani), zrezygnować ze Smoleńska bez obrony bał się. Stąd tylko 35.000 zaangażował w obronie miasta, resztę cofnął ku Moskwie. Następstwem tego były mordercze walki 17. VIII., w których ze strony napoleńskiej wzięło udział około 45.000. Odznaczyli się tu pięknie Polacy. Poniatowski rywalizował w brawurze z Muratem, o którym żołnierz polski mówił: „to drugi nasz książę". Odwrotnie, Murat oczarowany bohaterstwem Polaków, twierdził wobec Napoleona „iż dopiero zna prawdziwe męstwo, odkąd komenderuje Polakami". W następstwie walk z 17. VIII. Barclay mając już dostateczny pretekst, wycofał się ze Smoleńska, unikając klęski (Walutyna) tylko dzięki niedołęstwu marszałka Junota.

SKOŃCZYĆ KAMPANIĘ, CZY IŚĆ DALEJ?

Po wzięciu Smoleńska, chwaląc Polaków wyraził się Napoleon, że „wzięcie tej fortecy stanowi o losie Polski, która świetniejsza niż kiedykolwiek, świat zadziwi". Ale niebawem znalazł się w obliczu podobnych wątpliwości, co uprzednio w Witebsku. Walnej bitwy, a więc rozstrzygnięcia, dotąd nie było. Rozrastał się tylko obszar zajęty, zmniejszała się ilość wojsk, które można było poprowadzić dalej, oddalano się coraz bardziej od Francji. Całe prawie otoczenie, a zwłaszcza Polacy nalegali wprost na cesarza, by nie powtarzał błędu Karola XIII i nie posuwał się dalej, a raczej organizował tyły, przeczekał zimę. Uważano, że zgniecenie na lewej flance Wittgensteina, a na prawej Tormasowa będzie wspaniałym ukoronowaniem kampanii na ten rok. Do akcji na Wołyń, na Tormasowa napierali się wręcz Polacy z generałami Poniatowskim i Krasińskim na czele. „Niechby tylko pozwolono Poniatowskiemu — mówiono — a odnajdzie już miecz, którym niegdyś Chrobry ciął w Złotą Bramę". „Błagał o to pozwolenie Poniatowski cesarza 21. VIII. po rewii korpusu polskiego, wywołując rzekomo wzburzenie i groźbę rozstrzelania, gdyby samowolnie odchodził".

POWODY NAPOLEONA MARSZU NA MOSKWĘ.

Jeżeli Napoleon odrzucił ostatecznie plan zatrzymania się koło Smoleńska na leża zimowe, to nie było to bez powodów. Uważał, że rozbijanie wojny z Rosją na 2—3 kampanii miałoby sens tylko wtedy, gdyby napotkał opór i musiał mozolnie zdobywać teren. Tymczasem szybkie postępy stawiały go z końcem sierpnia o 12 marszy od Moskwy. Jeszcze całe 10 tygodni dzieliło go więc od okresu pierwszych mrozów. W tym zaś czasie można było zająć Moskwę i zdążyć z powrotem na leża do Smoleńska. Że zaś spodziewać się należało, iż car nie odda Moskwy bez walki, doszłoby więc wreszcie do upragnionej walnej bitwy, po której Aleksander I byłby zmuszony zawrzeć pokój. Zdawało się Napoleonowi, że i środki ma po temu, by w zwycięstwo nie wątpić. 160.000 ludzi mógł jeszcze poprowadzić na Moskwę, na której obronę mógł car zebrać najwyżej 100.000 wojsk regularnych i 20 tys. rekruta. Siła napoleońska dostateczną była dla zwycięstwa i zajęcia Moskwy, ale nie wystarczała już na podbój centralnej Rosji; ale z tym Napoleon się nie liczył ufny, że car złamany klęską poprosi o pokój. Donoszono przecież, że wybuchł otwarty bunt w armii przeciwko Barclay'owi, że samemu carowi grozi detronizacja. Mówiono nawet, że Rosjanie pogodzili się już ze stratą ziem polskich, byle im tylko zostawić brzegi Bałtyku. Ogarnęła więc Napoleona przemożna chęć zakończenia wojny z Rosją jeszcze

[1]) Polska Akademia Umiejętności. Marian Kukiel, „Wojna 1812 roku". Kraków 1937; tom I. z 6 mapami, stron XVI + 444; tom II z 13 mapami i planami, stron V + 653.

[2]) W „Tygodniu Kulturalno-Literackim" z 27. VI. 1937 r.

Władysław Zawadzki

Powrót Napoleona z Elby

Jak łatwo triumfować uperukowanym łysinom su-
[chych dyplomatów,
kiedy w klatkę schwytana dostojność orla wroga.
Jak łatwo zstańcują się melodyjnymi walcami świą-
[teczne korowody dni,
kiedy wszystkie Metternichy i Talleyrandy i cary
[szponami gęsich piór
dobijają bohatera na białych polach walk arkuszów
[kongresowych.
Tańcz Wiedniu, szalej zabawami, kongresuj, żyj:
Wszak nie zawiśnie ci już nad głową groźny cień
[Austerlitzu.

— — — — — — — — — — — — — —

Kurier — wieść!!!...
Grom!!!...
Obudzenie ze snu zabaw
do jawy nowych klęsk!...
Napoleon wrócił z Elby!!!

— — — — — — — — — — — — — —

Wezbrane gniewem za znieważenie „wojennego
[boga"
Orlą dostojność wyrwały z ciasnej klatki fale roz-
[hukane.
Skoczył z okrętu na brzeg ojczyźniany — —
Już jest — idzie — rośnie —
W stu dniach epopeja nowa
bagnetami stu batalionów ma być wypisana.
Więc spieszyć,
gnać
konstruować
arcydzieło sławy
swojej —
i Francji —
(Francja to On!)

— — — — — — — — — — — — — —

Drżyjcie roztańczone kongresy!! —
Chytrość Metternichów spali egzaltacja wiary
w wodza —
w geniusz —
dźwigany twardym spojrzeniem
dwóch stalowych oczu —
spokojnych powagą wielkości.

— — — — — — — — — — — — — —

Porwał się naród
obudzony z wątpiałej małości. —
Allons enfants de la patrie — — —
za wodzem
za żywym sztandarem, —
całych stuleci narodu
setka pułkowych sztandarów
w bitwach całej Europy chrzczonych
łopoce peány zwycięskie —
La jour de gloire est arrivé —
A on,
cesarz,
w słońcu rozpalonej glorii
tworząc poematy dziejów
idzie — —
sunie.
Wielką armię
karłów do nóg swych walić:
karać:
świat przebudowywać,
nadymać
wielkością chwały —
on: wódz,
N a p o l e o n ! ! ...

Anna Turowska

NA LESKOWCU

Wsławili w literaturze beskidzkie strony poeci grupy **„Czartaka“**, a przecież nadal te niewysokie pagóry, grzbiety górskie lasem jodłowym i bukowym zarosłe pozostały krajem niemal nieznanym i dla urodzonych mieszczuchów i nawet dla taterników. Mieszczuchowi wystarczy, gdy wspaniałą limuzyną przemknie serpentyny kocierskiej szosy, a taternik cóżby robił na beskidzkim szlaku? Najwyższe wzniesienia prócz Babiej nie przekraczają tu 900 m, nie ma miejsc trudnych, przewieszek, kominków, ekspozycji — słowem nie można dokazać żadnych znamienitych wyczynów, trzeba natomiast z cierpliwością prawdziwego włóczęgi, z beztroską trampa przenosić się z jednej górki w dolinkę, a stamtąd znów na górę, na przełęcz i tak mniej więcej na przestrzeni 250 km od Babiej po dolinę Skawy można wędrować samopas. Napozór z daleka pagór do pagóra podobny, szeroki, przysadzisty, ale skoro przywiedzie los człowieka w te strony, to świat się od razu zmienia. Otwiera się oczy szeroko, coraz szerzej, a jeszcze i tak dość wszystkiemu napatrzyć się nie można.

Krajobraz ze szczytów rozległy, pełen powietrza i niezmąconej ciszy. Tak blisko wiosek i miast, a jednak wydaje się, że jesteśmy w sercu gór. Ledwie tylko pójść od małego przystanku kolejowego w Mucharzu — sławnego z dawnego ariańskiego zboru — leśną drogą, wśród buków dziwacznie pokręconych i jodły wysokopiennej na halę Leskowca, a zewsząd otoczy nas prawdziwe morze gór. Najbliższe zdają się zupełnie czarne od ciemnego igliwia lasów, których nie zrąbała jeszcze siekiera, dalsze świecą jasnymi plamami „łysin“ — karczowisk i hal ledwie co młodziutką trawą wiosenną zarosłych, a ponad wszystkim piętrzą się zupełnie jeszcze ośnieżone granie Wielkiej i Małej Babiej i stojącego jakby w jednej z nimi linii samotnika Turbacza.

Bystre oczy wypatrzą na samych krańcach widnokręgu ledwie, ledwie majaczące iglice Tatr, sięgające aż pod strop nieba.

Spoza garbów i wierchów falistych, niby powierzchnia wzburzonego morza, nie widać dolin, tylko czasem wiatr przyniesie uszom szmer płynącej wartko po toczonych kamieniach wody, czasem doleci poszczekiwanie rozeźlonych psów z jakowejś wioszczyny nad Ponikiewką; zresztą kojąca panuje cichość. O tej wczesnowiosennej porze nikt jeszcze nie włóczy się po Beskidach. Pasterzy na halach nie ma, ni wadowiczan, co każdo-niedzielny weekend na Leskowcu spędzają.

Nieme, bezlistne, szare stoją buki, o których poeta z Czartaka, Tadeusz Szantroch, tak pisał:

„Cześć wam, bracia rycerze, na beskidzkiej górze —
tym pniom waszym, sękatym piersiom bez zalęku
Co w największe jednako wspierały się burze
a blizn chwałę zaszczytną w każdym noszą sęku“.

Rzeczywiście zadziwiają wędrowca buki na Leskowcu swymi pniami potwornie nieraz skręconymi, konarami splecionymi jak powrozy od wichur, które tu co jesień, co zimę szaleją, przynosząc mgłę, plutę i śniegową zadymkę.

Piekłem musi być wówczas dzisiaj tak łatwy szlak i bez znaków gęsto po drzewach farbą kolorową kreślonych, do schroniska można nie trafić, bo w lesie drzewo do drzewa podobne, a ścieżyn spod śniegu nie widać. Wtedy tylko kompasowi można ufać i znajomości terenu, ale i tak duchy gór lubią płatać figle tym, co nazbyt ufają we własne siły. Opowiadali nam gospodarze przemiłego schroniska na Leskowcu, że stały bywalec tutejszych stron, jakiś wadowicki sędzia, kluczył noc całą w pobliżu schroniska, deptał własne ślady narciarskie i ledwie o poranku przemocą niemal sprowadzono go wreszcie do schroniska, bo chciał koniecznie iść w stronę przeciwną. Opętało go licho, czy bies, kto tam zgadnie?, bo schronisko widać jak na dłoni na szerokiej hali.

Nas nie spotkała żadna przygoda. Przed wieczorem dochodzimy najpierw do kamiennej kapliczki, w której siedzi Chrystus Frasobliwy, umęczoną głowę opierając na ręku. Figurę wyrzeźbił ostatni i najsławniejszy świątkarz beskidzki, Jędrzej Wowro — artysta z Bożej łaski, rzeźbiarz samouk, kozikiem wycinający z lipowych pieńków arcydzieła prawdziwe, najpiękniejsze okazy samorodnej sztuki ludowej.

Słońce od zachodu rzuciło nam ostatni snop promieni i znikło, zato księżyc w pełni, najpierw malinowy, potem pomarańczowy blednąc coraz więcej toczył się niby kula bilardowa, mknąc coraz szybciej i wyżej po swej niebieskiej drodze. Widno niemal jak we dnie, gdy idziemy trawiastym wilgotnym od rosy zboczem na szczyt Leskowca wy-

(Dokończenie ze str. I).

w tym roku. Wiedział, że zbyt długi pobyt z dala od Paryża i spraw Europy centralnej, podbitej a skorej do buntu, jest zawsze dlań niebezpieczny.

UJEMNE STRONY DECYZJI.

Postanowienie to było jednak ogromnym ryzykiem. Za 10 tygodni rozpoczynała się ciężka zima. W razie opóźnienia się lub jakichś komplikacyj wojsko byłoby narażone na zniszczenie. Żołnierze przecież do tej chwili ubrani byli w mundury letnie; ciężkie zimowe, by nie zawadzały, zostawiono w zakładach. Na zbliżającą się zimę nie poczyniono żadnych przygotowań (gdyż nie brano pod uwagę kampanii zimowej). Dalszą trudnością była kwestia aprowizacji. Rosjanie w odwrocie niszczyli zbiory i wszelkie magazyny. Trzeba więc było zabrać ze sobą ogromne transporty żywnościowe. O zapasy dla ludzi jeszcze można się było wystarać, ale z obrokiem było gorzej. Konie słabły, masowo padały, co groziło dezorganizacją jazdy, artylerii i dowozów. Nie darmo z szubienicznym humorem raportował gen. Nausouty Muratowi: „Konie nie mają za grosz patriotyzmu. Żołnierze biją się bez chleba, a konie upierają się przy owsie“. Napoleon nie docenił tych niebezpieczeństw. Liczył, że w Moskwie będzie można zaradzić wszystkim brakom i nagrodzić cierpienia żołnierza. Był to jednak, jak pisze gen. Kukiel, „hazard śmiertelny ruszać na Moskwę bez uprzedniego stanowczego rozprawienia się z flankowymi armiami rosyjskimi, bez jednolitego kierownictwa na tyłach, bez należytego ufortyfikowania i zaopatrzenia nowego ośrodka operacji, bez zorganizowania dowozów, bez przygotowania się na kampanię zimową“.

W ROSYJSKIM OBOZIE.

Wobec antagonizmu dowódców rosyjskich i koalicji generalskiej przeciw Barclay'owi los jego po stracie Smoleńska był przypieczętowany. W armii wybuchł otwarty bunt. Car wbrew swemu przekonaniu, lecz idąc za głosem opinii, nominował wodza narodowego, niemiłego sobie, ks. Kutuzowa, wsławionego jednak zakończeniem wojny tureckiej. Kutuzow, który niezbyt miłe miał wspomnienia spod Austerlitz, nie miał wcale ochoty mierzyć się z Napoleonem. Toteż cofał się, póki mógł. Był zdecydowany nawet Moskwę oddać bez walki, byle mieć na to jakieś usprawiedliwienie. Toteż gotując się pod Borodino (pod Moskwą) pozornie do bitwy, czekał tylko na manewr okrążający Napoelona, by zarządzić odwrót. Ale to mu się nie udało. Napoleon przeczuwając jego intencje, wolał zrezygnować z obejścia, byle stoczyć wreszcie upragnioną walną bitwę.

BORODINO (7. IX.).

Bitwa ta rozegrała się na niewielkiej przestrzeni. Zebrało się tu 124.000 wojsk napoleońskich naprzeciw 126.000 rosyjskich (więc prawie równo). Silna artyleria z obu stron (587 na 640 dział) doprowadziła do „rzeźni“. Napoleon stracił 29.000 ludzi, Rosjanie aż 58.000. Stąd równowaga dotychczasowa sił została wybitnie zwichnięta na korzyść Napoleona, ścigającego teraz w 90.000 — 50.000 armię Kutuzowa. Ale stała się rzecz dziwna i nie przewidywana. Rosjanie mimo takich strat nie ulegli rozkładowi. Cofali się w porządku. Stąd Kutuzow mógł udawać zwycięzcę i wmówić to ludności i wojsku, co miało mieć ogromne znaczenie moralne. W Petersburgu dziękowano Bogu za zwycięstwo, a car mianował Kutuzowa marszałkiem...; tymczasem rzeczywisty zwycięsca, Napoleon, mógł wkroczyć bez przeszkód do Moskwy.

Z pamiętników Ks. Sieniewicza

Podróż ze Lwowa do Rzymu przed 80 laty

W „Tygodniu“ z 15 br. zamieściliśmy jeden rozdział z niedrukowanych dotąd pamiętników Ks. Emiliana Sieniewicza, Polaka i księdza unickiego, który (urodz. w roku 1833) zakończył życie w Krakowie w roku 1909. Musiał on, jako alumn seminarium duchownego w Chełmie uciekać do Galicji, ponieważ odrzucił propozycję wstąpienia do schizmatyckiej Akademii duchownej w Petersburgu. Przekradając się nocami, przekroczył granicę w pobliżu Budzynina i przybył do Bełza. Tu spotkał swoich kolegów z teologii: A. Krypiakiewicza i Józefa Mosiewicza. Otrzymali policjanta, który ich dozorował i brali po 20 „Kreuzerów“ codziennie na utrzymanie... W tym czasie namiestnictwo galicyjskie badało ich dokumenty i prawdziwość zeznania, że opuścili Rosję z powodu prześladowania religijnego. W Bełzie, powstała myśl udania się do Rzymu. Jak do tego doszło i jaki przebieg miała ta podróż (lato r.1855), dowiemy się z dalszej części pamiętnika, którą dziś drukujemy. St. Waydowicz.

Po drugim miesiącu pobytu — opowiada ks. Siemiewicz — otrzymaliśmy pismo z kancelarii namiestnika z zapytaniem, dokąd chcemy wyjechać i czy mamy na to pieniądze. Koledzy byli dobrze zaopatrzeni, a ja byłem w gorszym położeniu, wszyscy trzej jednak oświadczyliśmy jednomyślnie, że chcemy jechać do **Rzymu** i każdy z nas ma pieniądze na drogę. Uwiadomiłem o tym ojca, który oznajmił treść mego listu właścicielowi majątku Żdzanne, Smorczewskiemu, memu koledze od młodości i wskutek tego otrzymałem po 6 dniach list pieniężny zawierający 200 rubli. Kolegom wręczono paszporty. Mosiewicz otrzymał od p. Kownackiej właścicielki Żużela, powóz i konie, które dostawiły obu do Lwowa. Gdy namiestnik dowiedział się, że nie otrzymałem paszportu, zarządził dochodzenia, gdzie się podział mój paszport, skoro wszystkie trzy wysłano ze Lwowa. Okazało się, że wyprawiono go wraz z innymi aktami do **Wiednia. Omyłka zaszła w Żółkwi**, na sprostowanie której trzeba było kilku dni. Po 5 dniach otrzymałem dokument i dostałem się do Lwowa furmanką przez rząd zapłaconą. Przez ten czas mieli koledzy sposobność złożyć „homagium“ arcybiskupowi rz.-kat., a może więcej wizyt składali, ja zaś byłem z kolegami tylko przez jedną noc u Krypiakiewicza, który miał porządny warsztat krawiecki. Krawiec ten był bliskim kuzynem kolegi mego.

Ze Lwowa ruszyliśmy

„budką“ żydowską w 4 konie zaprzężoną, a zajętą razem z nami przez 11 osób.

Wyruszyliśmy na noc w niedzielę. Mieliśmy dwa listy od Gołuchowskiego, jeden dla nuncjusza apostolskiego w Wiedniu de Prela, drugi dla Rektora akademii duchownej, Spirydiona Lewickiego....

Jesteśmy w podróży. Jadąc dzień i noc z małymi przystankami, ułożyliśmy — będąc w Przemyślu — plan zatrzymania żyda w mieście za odpowiednią zapłatą na dwie godziny dla złożenia wizyty biskupowi ruskiemu **Jachimowiczowi**, i postąpiliśmy według naszej umowy idąc „in gremio“. Lokaj wpuścił nas do mieszkania kanonika **Ginilewicza**. Ks. G. zaczął nas wypytywać o diecezję chełmską **po rusku**, a po tym, gdyśmy mu powiedzieli o celu podróży do Rzymu, z prośbą, by biskup zachował nas w swej pamięci, otrzymaliśmy lakoniczną odpowiedź, że on dowie się, czy biskup zdrów. I prosił nas, byśmy za godzinę przyszli znowu. Gdy powtórnie przybyliśmy, drzwi były zamknięte... Kołaczemy kilka razy, nikt nie otwiera. — Ująwszy tedy za klahkę, popchnąłem silnie i drzwi otwarły się. Na korytarzu zastaliśmy służącego, który powiedział, że kanonik położył się spać, biskup chory. Na to odpowiedziałem: „Niech śpi jak najdłużej“. Na tym skończyła się wizyta u ruskiego biskupa.

Gdyśmy przyjechali do Tarnowa, odwiedziliśmy biskupa-wygnańca **Gutkowskiego**. Przyjął nas serdecznie i wręczył każdemu po 5 guldenów z wezwaniem, abyśmy się nie wzbraniali datku przyjąć, bo sprawiłoby mu to wielką przykrość. Pożegnawszy biskupa znaleźliśmy się na naszym wozie. Pośród podróżnych była staruszka inteligentna. Naraz zbliżył się do nas stary żebrak i wyciągnął rękę do nas z prośbą o jałmużnę. Kobieta zobaczywszy go, zemdlała, a dziad umknął. Po ocuceniu jej, usłyszeliśmy z ust niewiasty te słowa: „Dwu włościan trzymało mego męża, jeden za gardło, drugi za nogi, a oto ten, co tu był przed chwilą, z innym pospołu przepiłowali męża na połowę“. Było to przykre wspomnienie z rzezi galicyjskiej.

Niedzielę przepędziliśmy w Krakowie.

Gdy przeczytano w gazecie o naszym przyjeździe do Krakowa, bo stanęliśmy w hotelu pod właściwymi nazwiskami, radzono nam opuścić lokal zaraz, bo gdybyśmy bawili dłużej w Krakowie,

mogliby nas agenci rosyjscy pochwycić i za kilka godzin przewieźć do „Królestwa“.

Nie czekając na nieprzyjemności, przenieśliśmy się do innego zajazdu a doczekawszy odpowiedniej godziny do odjazdu, koleją ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przybyliśmy do Wiednia. Jeden z nas trzech, Mosiewicz, znał tyle niemczyzny, iż się mógł o rzeczach najważniejszych poinformować. I tak zaszły konie fiakierskie i zajechaliśmy przed bramę akademii. Po chwili znaleźliśmy się w mieszkaniu rektora. Po przeczytaniu oddanego mu listu dał nam na mieszkanie pokoik z 3. łóżkami. W akademii była młodzież trzech narodowości: Rumuni, Rusini i Węgrzy. Kapelanem był staruszek, Ru-

srebrzony miesięczną poświatą. Idziemy w milczeniu, by nie spłoszyć uroczystej ciszy. Na szczycie triangulacyjna, nowiuteńka wieża, odłamki bierwion i kory obciosanej walają się wokoło.

Do niedawna stał tu krzyż, z którego pozostała jeno smolna, czarna drzazga wetknięta w ziemię; to zeszłego lata piorun uderzył w krzyżowe drzewo i zamienił w gorejącą pochodnię.

W schronisku zabłysło światełko. Czas powracać. Czynimy to z żalem, ale pod dachem P. T. T. witają mile gospodarze, dla których na tym pustkowiu naprawdę gość w dom — to Bóg w dom, bo przecież żyją niemal odcięci od ludzi. Ot, rankiem w niedzielę do kościoła na dole Ponikwi zejdą, to znów jak trzeba po zakupy, a zresztą jak rok długi tu siedzą sami.

Przy naftowej lampie pryska czar księżycowego wieczoru, a w miarę jak słuchamy opowieści tych prostych ludzi o szarym beznadziejnym wprost tutaj bytowaniu, o doli ciężkiej, pojmujemy że przetrwać tu lato, czy zimę to bajka utkana ze słońca, zieleni czy bieli — ale za to jesienne szarugi są naprawdę straszne.

— Bezpiecznie tu przynajmniej? — pytamy.

— Bóg strzeże — słyszymy odpowiedź. — Czasami jednak straszno... dodaje gospodyni, mizerne kobieciątko krzątające się koło naszej strawy. — Raz byłam sama, cały rok tu na górze — opowiada — mąż miał w mieście w Wadowicach posadę. Przyszła jesień. Słyszę dobijanie w nocy do drzwi, otworzyć się bałam, ale muszę to mój obowiązek. Weszło trzech nieznajomych, bez plecaków byli, bez legitymacji turystycznych; źle, myślę sobie, zbóje, jakieś. A oni jeść wołają, daję, zjedli i spać poszli... a ja to już tak do rana z otwartymi przeleżałam oczyma i modlę się i boję, ale rano poszli, zapłacili i mówili, że pobłądzili idąc do sąsiedniej wsi przez las, zresztą rano to się już nie bałam — w nocy strach ma wielkie oczy...

O tak, mieliśmy sposobność przekonać się sami nie długo o tym; jeszcze tej nocy obudził nas jakiś łoskot, jakby ktoś kijem walił o ścianę, a przecież gdy spojrzeć przez okno na oświetloną księżycem halę żywego nie ma ducha... a jednak niepokojące. Łup! łup... powtarza się znów po chwili i tak do białego rana, gdyż wówczas dopiero stwierdziliśmy, że przyczyną podejrzanych hałasów była źle umocowana okiennica, którą wiatr łomotał.

Nocne lęki pierzchły w brzasku słonecznego poranku.

Przed nami szeroka jasna droga wiodła na szczyt, na Leskowiec i dalej przez Madohorę, Potrójną na Kocierską przełęcz. Dzień mamy długi przed sobą, przed wieczorem bez wysiłku można dojść do Andrychowa, by stamtąd już koleją wracać do domu.

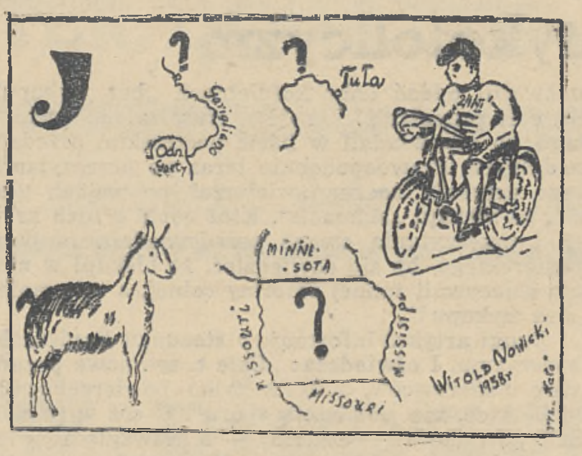
Od lasu płynie balsamiczna woń żywicy, na ścieżynie niby klejnociki spacerują beztrosko zielone żuczki, skarabeusze Leskowca, ale płochliwe młode zwinne jaszczurki na odgłos naszych kroków czym prędzej czmychają w gęstwę kwitnących borówek. Z wysoka oglądamy cząstkę wielkiego rozsłonecznionego świata Beskidów Małych, których piękno może poznać każdy, kto tylko zawędruje w taki właśnie wiosenny jasny poranek na szczyt Leskowca.

—oOo—

Rozrywki umysłowe Nr 22/113

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Zadania pozakonkursowe.



ZAD. 1. — REBUS ZAWSZE AKTUALNY — (5 PUNKTÓW).
uł. „**K a s t a**" — czł. Kl. Szar.

ZAD. 2. — SZARADA KOLONIALNA (4 PUNKTY).
uł. „**A n d r u s**" — Kraków

Komunikaty **Pierwszego - drugiego**
żar **wspak trzy - czwartego** ponosi,
gdy z punktu widzenia mocarstwowego
potrzebę kolonii nam głosi
Głosi, że ziemia tam jest **druga - czwarta**
Spytajmy **trzy,** ile jest warta?
A gdy nam odpowie: „Złotego bez mała",
„**Raz,** Polsko! Niech żyje nam **Cała**".

ZAD. 3. — SZARADY „CO KTO WOLI" — (5 PUNKTÓW).
uł. „**Dziadek z Bakszty**" — czł. Kl. Szar.

I.

Ktoś się **Pół trzy-pięć-trój-pierwszym** zachwyca
i śnieżną bielą szczytów gór Kaukazu;
nam się na widok Tatr radują lica,
bo pokochaliśmy je tak, od razu!
Nie odda cudów, z których słyną Tatry,
ni **raz - dwa - piąta**, ani farba wodna!
W lecie czy w zimie, w dzień czy w blasku watry,
ich panorama jest zachwytu godna.
Na bal czy **trzeci - wspak czwarty** nie skłoni
mnie nikt na „**drugie**" prośbą i wymową,
gdy wiem, że **czwór** się skumam z bólem skroni...
W górach przyjemność mam i... zdrową głowę!

II.

Z czwór - drugim - pierwszym i jakby dla sportu
okłamujemy siebie i świat stary.
Od **Wspak pięć - cztery i trzeciego** portu,
aż do Madrytu poprzez Baleary,
człowiek bliźniego wywieźć w pole pragnie,
(nawet **Dwa - piąta** Galatę nabiera!),
a gdy już dosyć ma gmerania w bagnie,
z orężem w ręku w cudzy kraj się wdziera.
Tak jest na Wschodzie, tak w kraju Alfonsa:
wspak raz - trzeciego cudzej ziemi żyznej
sąsiad pożąda, więc sąsiada kąsa
i z własnej jego żenie go ojczyzny.

ZAD. 4. — ARYTMOGRAF — (5 PUNKTÓW).
uł. „**A d a r**" — Kraków — Czł. Kl. Szar.

W miejsce liczb tekstu wstawić litery, otrzymane z odgadnięcia podanych słów pomocniczych, które dadzą rozwiązanie.

Tekst: 24, 7, 21, 11, 19—10, 9, 8, 5, 13, 4, 3, 2, 25, 4—20, 18, 22, 9, 12, 18, 4, 5, 11, 13, 18, 7—6, 18, 4, 15, 16—14, 18, 17. 15—12, 7, 20—3, 17, 11. 13. 18, 4—20, 18. 22, 9, 12, 18, 4, 5, 6, 19, 20—23, 14—7, 2, 1; 2, 12, 8, 19, 6 —

Słowa pomocnicze:

1) 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 5 = naczelnik okręgu adm.
2) 10, 9, 11, 4, 12, 13, 4, 14 = spodnia część stopy,
3) 15, 16, 17, 15, 18, 6, 19 = miasto w pow. i woj. Kieleckim,
4) 20, 18, 5, 7, 21 = ułudny obraz optyczny,
5) 22, 9, 23 = zwierzę o dużych rogach,
6) 24, 18, 25 = pręt, laska.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 14/10, Z II. KONKURSU (D. C.).

Zad. 14. Na czasie: Prima Aprilis.

Zad. 15. Logogryf: Prima Aprilis (Papua, parki, plika, pampa, Prado, plant, pupil, pirat, prior, palma, prise, possa).

Zad. 16. Szarada: Zima przypomina swoje prawa,

Zad. 17. Z poezji „Aprilisowej": Miał chrapkę zacharapcić hart rachat nachrapem, za co Zachar po chrapach chapnął go charapem.

Sprostowanie. W dodatku „Tydzień" z dn. 15. V. Nr. 20/III przy zadaniu Nr. 15, przez omyłkę nie zostały podane znaczenia wyrazów, co niniejszym uzupełniamy i termin rozwiązania z tego numeru przedłużamy do dnia 5. VI. r. b.

Znaczenie wyrazów: 1. Nauka o mierze wiersza, 2. mieszkaniec, rodz.: żeńsk., 3.Glejta żółta, proszkowata, używana jako barwnik, 4. Osoba albo rzecz, przynosząca powodzenie, szczęście, 5. Utwór muzyczny, zdrobn., 6. Tkanina cienka bawełniana, naśladująca atłas, 7. Część mechaniki, 8. Utwór prozą lub wierszem, ironiczny (zdrobn.).

KUPON Nr 22/113
ważny do 12. VI. b. r.

mun, który odprawiał po swojemu nabożeństwa dla wszystkich w cerkiewce św. Barbary. Ponieważ w gmachu przebywaliśmy dłużej niż sześć tygodni, można było zorientować się, że grono akademików nie sympatyzowało z nami i nie lubiano języka polskiego. Życzliwość okazywał nam tylko niejaki Kozłowski, który chętnie z nami rozmawiał,, chociaż bojaźliwie... Był tam też **Sarnicki**, Bazylianin. Ten był małomówny, rozmawiał z nami po polsku, a był to ten sam, który po tym został przełożonym O. O. Bazylianów we Lwowie.

Pośród alumnów-akademików znalazły się indywidua nam bardzo nieprzychylne. Sporządziwszy bombę zawierającą znaczną ilość prochu, wrzucili ją do ogrodu, zapaliwszy lont. Padając, sprawiła ona taki huk, iż przeraziła wszystkich sąsiadów i rektora. Przyszedł on do naszego pokoju i rzekł: „Mam przekonanie, że to nie sprawa panów i zdaje mi się, że się nie mylę, ale wiem, że to było przeciw wam wymierzone. Ja kiedyś tego dojdę".

Prócz tej przygody zdarzył się inny wypadek. Gdy ks. rektor z wręczonym mu listem od namiestnika Gołuchowskiego adresowanym do nuncjusza udał się do nuncjatury, Kardynał (Nuncjusz) oświadczył mu, że pobyt nasz we Wiedniu musi być dłuższy, dopóki on nie otrzyma zawiadomienia z Rzymu, aby tych trzech młodych ludzi tam przesłać.

F. Malczyński, który dał deklarację prawdziwą, że do akademii petersburskiej pojedzie, powróciwszy do domu, musiał plan swój zmienić, albowiem Mosiewicz udał się do Chołubia koło Hrubieszowa i przybywszy do Malczyńskich, swych dalekich krewnych, z pożegnaniem, czynił Franciszkowi wymówki. Obywatel Królikowski z Mircza wybierając się za granicę, dał Malczyńskiemu paszport swego lokaja, w parę dni później wziął go ze sobą i oddał nuncjaturze wiedeńskiej.

Reszta czasu upłynęła nam we Wiedniu przyjemnie, bo mogliśmy zwiedzać wszystko, nawet byliśmy w arsenale i Operze Nadwornej na „Lunatyczce". Artystką, śpiewającą arię główną, była Polka **Leśniewska**, córka profesora gimnazjalnego z Białej na Podlasiu.

Nadeszła wola papieża z Rzymu, żebyśmy tam ruszyli w drogę. Zabrano nasze rzeczy, a potem przyniesiono bilety jazdy do Tryestu. Do Lublany wiodła kolej, z Lublany do Tryestu jechaliśmy wozem. Gdy nas do portu dostawiono, już rzeczy nasze były na statku pocztowym „Lloyda" i ruszyliśmy wieczorem do Ankony.

„Na statku, który silnie kołysał się, odbyłem „chorobę morską". Nie dość tego! Wskutek ruchów okrętu upadłem i byłbym znalazł się w morskim odmęcie, gdyby majtek nie był mnie chwycił za kołnierz i uratował. Nadciągnęła burza. Słyszano w ścianach kajut trzeszczenie, wisząca lampa płonąca spadła, szczęściem nie wzniecając pożaru. Stół i krzesła latały po kajucie jakby je kto podrzucał. Trwało to do godziny 2 po północy. Kapitan statku polecił majtkom wołać: „Siamo saluti!" (Jesteśmy ocaleni!). Jeszcze okręt chwiał się przez pewien czas, ale nie było już niebezpieczeństwa.

Wreszcie słońce wzeszło. Niebo było pogodne. Naraz usłyszałem salwę. Pomyślałem sobie, że przecież Włosi są uczciwi, bo strzelają z radości, że E. Sieniewicz wraz z towarzyszami nie utonął, po powzięciu jednak dokładnych informacyj przekonaliśmy się, że to nie dlatego, ale że przybył admirał angielski do portu. Obawiałem się wsiąść na łódkę, a jednak trzeba było. Przewoźnik zabrał nas wszystkich trzech. Kiedy stanęliśmy już pewną nogą na lądzie, udaliśmy się do hoteliku „albergo de la pace". Zajęliśmy pokoik, w którym pościel stanowiły liście kukurudzy przykryte wielkim białym prześcieradłem. Do tego łoża trzeba było wspinać się po schodkach, gdyż na podłodze ceglanej znajdowała się masa pcheł.

Po oddaniu przez posłańca listu nuncjusza adresowanego dla wręczenia „marchese de cinque", przyniesiono nam wkrótce rzeczy z kajuty, które po nadaniu we Wiedniu, tu odebraliśmy. Gdyśmy rano spożywali śniadanie z „panitellami" (bułeczki), pojawił się posłaniec od „marchese". Poszliśmy do urzędu. Urzędnik władał tylko językami francuskim i włoskim, a my ich nie znaliśmy.

Dopiero za pośrednictwem tłumacza (Niemca) dowiedzieliśmy się, że nuncjusz polecił nas wybadać, czy mamy pieniądze na podróż do Rzymu. Oświadczyliśmy, że pieniędzy nie mamy, gdyż tak było rzeczywiście. Potem otrzymaliśmy list adresowany do sekretarza Propagandy, Barnabo.

Pożegnawszy urzędnika, poszliśmy do naszego zajazdu. Zanim podzieliliśmy się jakąś „minestrą" i uiścili należytość gospodarzowi, zatoczyła się dwukołowa karoca, zaprzężona we dwa muły. Podróż (z Ankony do Rzymu) trwała cztery dni. — Bardzo często odbywaliśmy ją pieszo, gdyż trzeba było iść pod górę. Gdzieniegdzie objeżdżaliśmy głębokie doliny, po których płynął strumień, a były też rzeki ujęte w sztuczne koryta, przy których znajdowały się ogrody z oliwkami, winem i kukurudzą. Zdaje mi się, że były tam także drzewa figowe i pomarańcze. Droga wiodła nieraz przez miejsca pokryte gęstymi krzewami, z których to zarośli wychodziły jakieś „indywidua". Ponieważ woźnica nasz oświadczył im, że pasażerami jego są „povére" (biedni) Polacy, nie żądali jałmużny wcale. Na przestrzeni, jaką przebywaliśmy, były domki murowane wprawdzie, ale zaniedbane, które zastępowały nasze karczemki, gdzie można było nabyć pożywienie i owoce.

Dostawszy się na Apenin pieszo, zdawało się, że mieliśmy chmury poniżej nas wiatrem pędzone, a jedną z chmur przeciągającą wyżej przeszliśmy siłą, ale za krzywdę, jak jej wyrządziliśmy, przemokliśmy do nitki".

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Nieszczery antykatolicyzm

Polska — mówimy z dumą — ma katolicką młodzież. I jest wiele racji w tym powiedzeniu. Ale nie należy generalizować...

Mamy silny prąd katolicki wśród młodzieży kształcącej się, zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej. Ale młodzież akademicka, to — tylko część, przyznajemy: bardzo ważna, ale tylko część — młodego pokolenia. Natomiast bardzo znaczna część młodzieży wiejskiej i robotniczej ulega wpływom antykatolickim.

MŁODZIEŻ AKADEMICKA.

Nasza młodzież akademicka świadczy o swoim katolicyzmie takimi faktami, jak: zupełny prawie upadek lewicowo - antykatolickich stowarzyszeń, a rozwój takich, które katolickie hasła śmiało wysuwają na czoło swego ruchu, — piękna i wzruszająca tradycja jasnogórskich pielgrzymek, — udział liczny w praktykach religijnych (np. w rekolekcjach akademickich), — zwrot do studiów nad katolicyzmem (zwłaszcza w grupach warszawskich O. N. R.) itp.

Są katolicy, którzy sceptycznie patrzą na katolicyzm młodzieży akademickiej. Twierdzą, że jest powierzchowny i dyktowany politycznymi względami; młodzież ta — mówi się — bierze z katolicyzmu tylko to, co jej jest potrzebne dla politycznych celów, nie bierze zaś katolicyzmu całego, z jego wszystkimi konsekwencjami.

Zastrzeżenia te są przesadne. Polityczny charakter organizacyj młodzieży należy organicznie do ruchu młodych. Kiedy się chce z posad ruszać bryłę świata, trudno wymagać, by ci, którzy to robią, nie myśleli, jak to trzeba zrobić... Niebezpieczeństwu zaś posługiwania się katolicyzmem jako środkiem do politycznych celów można zapobiec przez skłonienie tych młodych do studiów nad istotą katolicyzmu, nad jego stosunkiem do życia zbiorowego i do świata kultury. Nie będzie to z pewnością trudne; kto odbywa pielgrzymki religijne, ten jest do takich studiów obowiązany i ten obowiązek musi zrozumieć.

„SIEW".

Inna jest sprawa z młodzieżą wiejską... Pozornie wydaje się, że wszystko jest tu w porządku. Młodzi chłopcy wypełniają nasze kościoły (o ile nie ulegają zadomowionemu gdzieniegdzie „zwyczajowi" wystawania poza kościołem, na cmentarzu kościelnym), spełniają praktyki religijne, znaczna ich część należy do naszych K. S. M. Ale obok jasnych stron są i cienie na tym obrazie. Najbardziej niepokojącym z nich jest rozwój stowarzyszeń, które jak „Wici" lub „Siew", prowadzą wychowawczą pracę w duchu antykatolickim.

O ideologii „Wici" było społeczeństwo dość dobrze poinformowane. Dla wielu natomiast niespodzianką było to, co wyszło na jaw dzięki konferencji radiowej Ks. Arcybiskupa Teodorowicza w sprawie działalności „Siewu". Nie podejrzywali bowiem, by organizacja, którą sam minister zaszczyca swoim poparciem moralnym, a podwładne mu instytucje wspomagają ją subwencjami z podatkowych pieniędzy, mogła puszczać się na tory antykatolickiej działalności. Zdradzę jeszcze jeden szczegół...

Owe antykatolickie wykłady, przeciw którym wystąpił Ks. Arcybiskup Teodorowicz, odbywały się w „uniwersytecie ludowym" w Głuchowie (pow. skierniewicki), co przypadkowo zdradził „Kurier Poranny", zbliżony do p. min. Poniatowskiego. Otóż tym, którzy śledzili rozwój „Siewu" (czyli „Związku Młodej Wsi"), wiadomo, że „uniwersytet" ten w Głuchowie był przed paroma laty poświęcony (!) przez katolickiego księdza, i to na specjalne zaproszenie kierownictwa Z. M. W.

Dziwny to jest ten antykatolicyzm, który księdza prosi o poświęcenie lokalu organizacyjnego, a potem w tym lokalu atakuje Kościół jako zbędnego rzekomo pośrednika między Bogiem i człowiekiem.

„WICI".

Taki sam dziwny antykatolicyzm obserwujemy w działalności „Wici". Taką samą nieszczerość.

Nie będę sięgał już w przeszłość tej organizacji. Kto ciekaw, niech sobie odczyta dokumenty zebrane w książce pt.: „Wici, Agraryzm, Siew", przez P. Wieśniaka. Dokumenty dowodzące, że „Wici" są organizacją antykatolicką, — a dokumenty dotąd nie odparte przez tę organizację i nie zaprzeczone... Zatrzymam się na jednym, ostatnim, numerze „Wici", z dnia 22. V.

Różni się tym od dawniejszych, z przed paru lat, numerów, że nie ma w nim wycieczek przeciw samej religii. Kto wie, czy to nie książka P. Wieśniaka pomogła. Ale za to jest mnóstwo fałszywych informacyj o kościele.

Czytamy w tym numerze artykuł poświęcony uchwałom Synodu Plenarnego. Autor pyta, dlaczego to biskupi zebrani na tym Synodzie nie uchwalili oddać dóbr kościelnych „bez wykupu" na cele parcelacji? I robi zarzut, że nie spełnili tego, co zapowiadali w liście pasterskim przedsynodalnym. Prawdopodobnie teraz po przeczytaniu tego artykułu zaczną „wiciarze" po wsiach głosić, że biskupi „skłamali". Któż sobie z nich zada trud przeczytania owego przedsynodalnego listu pasterskiego, by się dowiedzieć, że biskupi w nim nie obiecywali żadnej reformy rolnej, a tym mniej „bez wykupu?".

Drugi artykuł informuje o stosunku Papieża do hitleryzmu. I oświadcza: „Całe t. zw. nowe pogaństwo hitlerowców, zresztą tylko powierzchownie kiełkujące, nie jest istotą sporu". O cóż więc chodzi? „Tu chodzi — czytamy — o bezwzględną władzę nad duchem ludzkim"... „Wiciarze" zaczną teraz mówić, że sprawa neopogaństwa jest tylko parawanem, za którym kryje się dążność Papieża do władzy. To bowiem wynika z wyjaśnień „Wici".

NIESZCZEROŚĆ.

Nazywamy to nieszczerym antykatolicyzmem. Termin nie jest najszczęśliwszy, ale trudno o lepszy. Rozumiem przez niego obłudę, która polega na tym, że z jednej strony tak „Siew", jak „Wici" zapewniają, że — religię szanują, a zwalczają tylko klerykalizm, — z drugiej zaś bardzo skutecznie podkopują religię w duszy młodzieży wiejskiej przez szerzenie fałszów o kościele, instytucji przechowywującej Chrystusowe Objawienie w depozycie.

Wymienione dwie organizacje młodzieży wiejskiej świadczą, że wiele pracy wymaga młoda wieś, by mogła odnaleźć w sobie ten szczery katolicyzm, którym się nasza wieś zawsze odznaczała.

Pejot.

Z obcej niwy

„Antybolszewizm" Nazich

Jednym z najjaskrawszych chwytów, jakich używa hitleryzm w swej taktyce, jest ciągłe powoływanie się na swą misję obrony Europy przed bolszewizmem. W sprawie tej zabrał ostatnio głos wybitny uczony niemiecki profesor uniwersytetu dr Karol Barth, który, choć sam protestant, przyznaje jednak bezstronnie, że Kościół katolicki w Niemczech z prawdziwym heroizmem broni zasad kultury zachodniej przed zalewem dechrystianizacji.

„Czy można zwalczać materializm ziemi — zapytuje prof. Barth w piśmie, które przytacza R. d'Harcourt — tkwiący u podstaw bolszewizmu za pomocą materializmu krwi, który stanowi fundamentalną cechę ideologii Nazich? Czy można wypędzać szatana przez Belzebuba?... Tylko wiara w wartości nadprzyrodzone wytwarza w człowieku niezłomny dynamizm i opór przeciwko zbudom materializmu. Tylko ofiara pojęta. w znaczeniu Chrystusowym, więc nie jako samowyniszczenie, lecz jako zaparcie siebie z miłości ku bliźnim, może zapewnić społeczeństwom rozwój.

Tymczasem narodowy socjalizm potęguje instynkt egoizmu, instynkt rasy, poczucie wyższości i odrębności; hoduje w ten sposób w społeczeństwie nienawiść i wzgardę, czyli elementy pogłębiające w ludzkości proces dekompozycji... Nie pomogą w walce z bolszewizmem same tylko światopoglądy (Weltanschaungen) choćby nawet sięgające w głąb ludzkiej natury, jak „mit krwi i gleby", bo mają one, jak wszystkie koncepcje wyłącznie intelektualne, charakter przejściowy. Ta potrzeba silniejszych przekonań, opartych o głębsze podstawy, niż sam intelekt, sięgających do sfery woli i sumienia; a także przekonania mogą wypływać tylko z wiary, z odpowiedzialności przed Bogiem". (Por. Robert d'Harcourt: „Un tableau du professeur Barth").

Podobną myśl wyrazili już poprzednio biskupi niemieccy w swym zbiorowym liście pasterskim, pisząc:

„Ten, kto usiłuje walczyć z bolszewizmem z pominięciem motywów religijnych, otwiera tym samym drogę w życiu społecznym do wzmocnienia wpływów bolszewickich w dziedzinie politycznej i ekonomicznej".

Hitleryzm w walce z Kościołem katolickim usiłuje pomniejszyć a nawet zupełnie ignoruje wartość pierwiastków nadprzyrodzonych a szczególnie modlitwy. Używa w tym celu propagandy, zaprawionej szyderstwem. W czasopiśmie narodowo-socjalistycznym „Westdeuscher Beobachter" znajdujemy takie uwagi:

„Katolicy przeciw czerwonej Moskwie proponują środki obronne w postaci szkaplerzy i różańców. My sądzimy, że większy skutek będzie, jeżeli skierujemy przeciwko bolszewizmowi mitraliezy. Wielki już czas wziąć rozbrat z chorobliwym mistycyzmem i zamienić słowo „niederbeten" (zwalczać przez modlitwę) za pomocą słowa „niederknallen" (zwalczać za pomocą broni palnej"). (Por. art. „Gauleitera" Grohe w „Westdeutscher Beobachter").

Alternatywa: „Hitler albo Moskwa" jest fikcją, bo nie może się wyłączyć wzajemnie to, co ma wspólne korzenie. „Antybolszewizm" Berlina nie ma nic wspólnego z ofiarną postawą chrześcijanina broniącego z pobudek najgłębszych, bo duchowych, dziedzictwa kultury zachodniej przeciw czerwonemu barbarzyństwu.

„Demon Stalina i demon Hitlera — mówi Robert d'Harcourt — to są bracia, którzy pomimo niezgody, jaka między nimi panuje, nie przestają należeć do tej samej rodziny".

„Mistycyzm" totalizmu

Jednostka i społeczeństwo

Europa żyje dziś pod znakiem dynamizowania mas, które się odbywa w państwach totalnych w skali dotychczas nienotowanej. Ten „mistycyzm społeczny" stanowi główną wadę nowoczesnego totalizmu. Według organizatorów dynamiki życia zbiorowego w stylu „Nazich" zasady moralne są wytworem społeczności; to jest dobre, co jest korzystne dla zbiorowości, to zaś złe, co zbiorowości szkodzi. Występuje to zwłaszcza w Niemczech Hitlera. Państwo znajduje się ponad sumieniem indywidualnym. Tej zasady bronili Fichte, Hegel, Treitschke i von Buelow; ta zasada stanowiła główną podstawę polityki Bismarcka, który kierował się hasłami: „Konieczność nie zna prawa" i „Siła przed prawem" oraz „Real- und Machtpolitik" Adolfa Hitlera. Już Fichte nauczał: „Naczelnik państwa znajduje się ponad przykazaniami moralności indywidualnej, pozostaje w wyższym porządku moralnym, którego treść materialną można wyrazić w tych słowach: „Salus et decus populi suprema lex esto" (Ueber Machiavel. s. 221). A Treitschke pisze: „Najwznioślejszym i najtrudniejszym zadaniem człowieka będzie czynić ofiarę ze swoich przekonań na rzecz społeczeństwa i niejako rozpłynąć się w nim" (Vorlesungen ueber Politik. s. 110).

Inne stanowisko w sprawie stosunku jednostki do społeczeństwa zajmuje katolicyzm, który stwierdza, że

dynamika życia społecznego spoczywa zasadniczo w osobowości.

Jeśli człowiek nie odrodzi się wewnętrznie, to nie można się spodziewać odrodzenia społecznego. — „Świat został wyzwolony — jak słusznie zauważył Kerschensteiner — nie przez władzę, lecz przez miłość, służenie tedy bliźniemu, nie zaś panowanie nad nim — wypełnić może godnie życie ludzkie".

Chrześcijaństwo stale podkreśla, że człowiekowi nowoczesnemu zagraża niebezpieczeństwo stoczenia się w wir, w odmęt życia zbiorowego, które może uczynić z niego niewolnika własnej jego namiętności społecznej. Nauka Chrystusa przypomina, że

kultura społeczna domaga się uprzednio kultury osobistej.

Ażeby można było praktykować dobro w życiu zbiorowym, trzeba przed tym samemu być dobrym. Z tego wynika, że należy zacząć reformę społeczną od samych siebie, to znaczy dbać przede wszystkim o ulepszenie siebie.

W „Kodeksie Społecznym" znajdujemy następujące słowa:

„Indywidualizm ubóstwia jednostkę, socjalizm ubóstwia państwo, a socjalizm pozytywistyczny ubóstwia społeczeństwo. Wyrazem indywidualizmu w dziedzinie prawnej jest krańcowy subiektywizm, przypisujący osobie ludzkiej bezwzględną niezależność, a prawom jednostkowym wartość bezwarunkową. W taką przesadę wpadły niejednokrotnie konstytucje XIX wieku.

Naodwrót socjalizm pozytywistyczny (realizowany w ustrojach totalnych XIX w.) wyraża się w porządku prawnym przez krańcowy subiektywizm. Jego zdaniem społeczeństwo jest rzeczywistością wyższą i wcześniejszą od członków, z których się składa, członkom zaś tym przysługują jedynie te prawa, których wykonywanie wynika z solidarności społecznej. Taki obiektywizm prowadzi do zapoznania osoby ludzkiej i do zaprzeczenia praw, wypływających z samej natury człowieka. Społeczeństwo według tego obiektywizmu jest celem, człowiek — środkiem.

W rzeczywistości zaś człowiek ma osobiste przeznaczenie, a społeczeństwo jest dla niego koniecznym środkiem, który mu ułatwia osiągnięcie własnego celu. Prawa człowieka wypływają z samej jego natury, Podlegają wszakże ze strony społeczeństwa pewnym ograniczeniom jakich wymaga współżycie społeczne"

K. A.